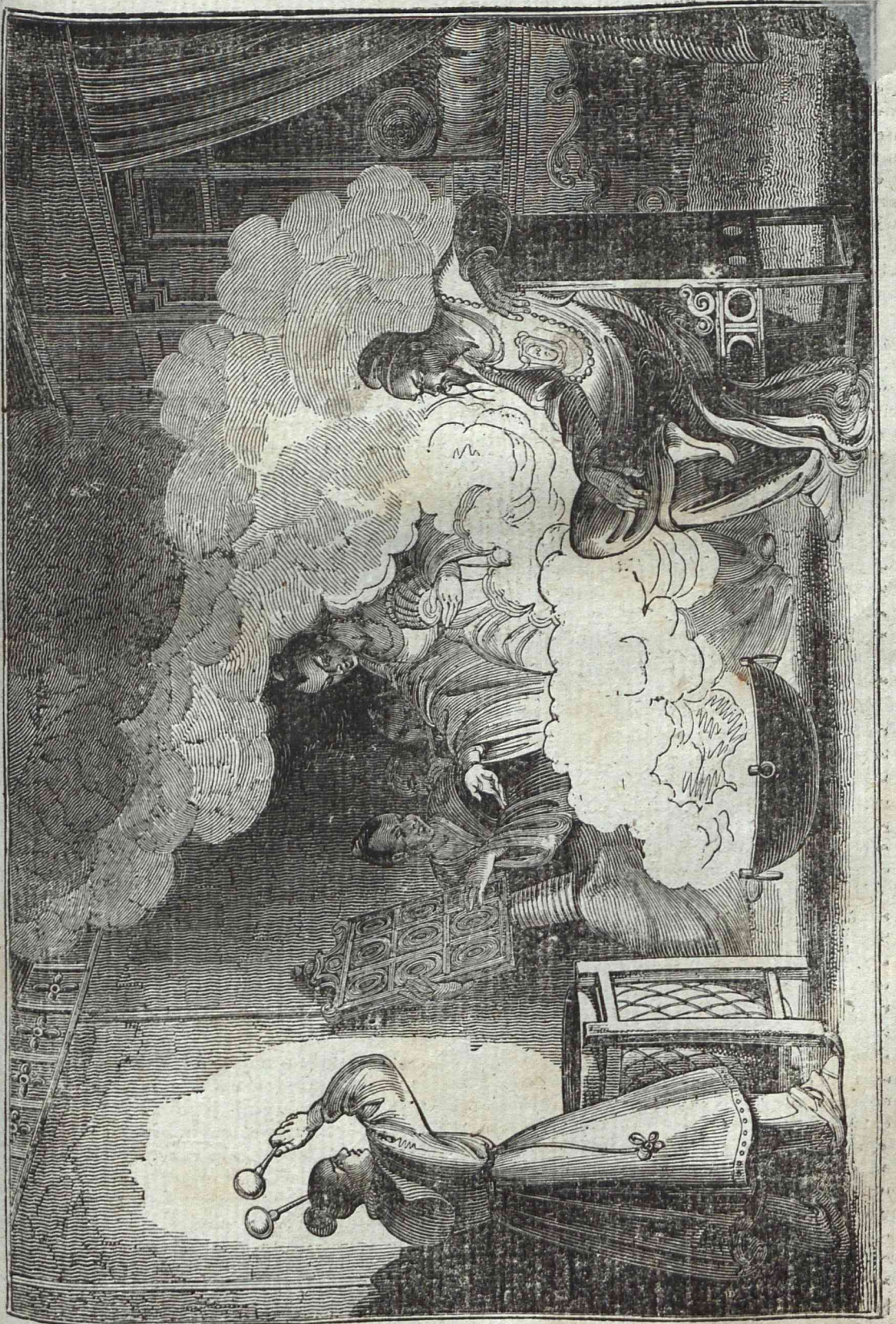


OBYCZAJE WSCHODNIE.



OBYCZAJE WSCHODNIE.

Za rządów Hussejna, Deja Algierskiego, Ali był jednym z najznacześniejszych członków rejencji. Był to, mówiąc właściwie, dzielny korsarz, jeden z tych odważnych Algierczyków, którzy podczas wojny stawali się postrachem żeglarzy. Skoro Déj ogłosił w porcie, że regeneya prowadzi wojnę z jakim europejskim mocarstwem, gdy zaczął zwinąć chorągiew konsulatu, a straż postawił w mieszkaniu konsula, Ali wychodził z domu, kazał podpłynąć karawelli pod sam brzeg lądu, a wówczas, kto chciał, mógł wsiąść na statek, Ali oparty o lawetę, z cybuchem wręku, milcząc przypatrywał się nowo przybyłym, oglądał ich pistolety, pałasze, ładownice, a gdy już się dostateczna liczba zebrała, puszczal się na morze. Ali zmierzał ku wyspom Balearskim; tam krył się w jednej z licznych zatok Kabrery albo Formentery i z perspektywą w rękę czekał na zdobycz. Orzeł nie uderza tak szybko na giemzę jak karawella Alego na statek, którego zdobyć chciała. Ali z pałaszem w rękę, najpierwszy wpadał na pokład nieprzyjacielskiego statku. Zdobycz była szybka, a częstokroć krwawa. Prowadzono ją do brzegów Afryki, tam niewolników sprzedawano natychmiast, a po rozdzieleniu zdobyczy, Ali używał przyjemności życia na tonie rodziny.

W dwa dni po zdobyciu Algieru przez Francuzów, jadłem obiad na tarasie domu którego zajmowałem, gdy renegat, mój służący, powiedział mi, że jakiś Turek chce mówić ze mną. W téjże chwili wszedł człowiek szlachetnej i wysokiej postawy, rysy miał wschodnie, a na fizjonomii malowała się dobroć, połączone z głębokim wyrazem smutku. Pod pachą trzymał wazon z kwiatami, a w rękę klatkę z dwoma ptaszkami. Zbliżył się do mnie, postawił na ziemi klatkę i wazon i prosił mię zepsutą włoszczyzną, ażebym je przyjął. Przez chwilę wahałem się, nie wiedząc czyli ten podarunek nie był delikatnym, sposobem proszenia o jałmużnę. Odgadł moje myśli i przydał że jest raisem, dobrze się mającym i potrzebuje protekcyi nie zaś jałmużny. Dowiedział się że jestem jednym z sekretarzy naczelnego wodza i spodziewa się iż zdołam wyjednać mu jednomiesięczną zwłokę: rozkazano bowiem wszystkim Turkom z milicyi de ja, aby natychmiast opuścili miasto. Oświadczyłem iż może uzyskać to czego żąda. Scisnął mię za rękę, a dwie łzy upadły na jego czarną i gęstą brodę. Ocierając je rzekł: » Nie prosilibym o tę fa-

skę, gdyby dwie moje żony nie były chore; jedna dopiero co odbyła połóg, a druga odbędzie go za dni kilka. W takim stanie nie mogę narażać je na niebezpieczeństwa żeglugi. Uspokoilem go zupełnie, i poczęstowałem kieliszkiem wina szampańskiego. Ledwie go skłoniłem do picia, wmawiając w niego, że to jest piwo francuzkie; wówczas wychylił kilka kieliszków, zapalił fajkę i poufałe palił ją przy mnie. Oświadczyłem mu, że nazajutrz przyniosę żądane pozwolenie, do jego domu. Zdziwił się tem oświadczeniem, pomyślał trochę, dorozumiał się iż pragnę zobaczyć wnętrze domu tureckiego i nie sprzeciwiając się żądaniu mojemu, powiedział gdzie mieszka. Sądzę, że wino szampańskie nie mało przyczyniło się do tego pozwolenia i że bez niego nigdyby mi nie dozwolił wstąpić do swego *skiffa*. Turek ten, był to Ali, ów groźny korsarz.

Pan d'Aubignaux naczelnik policyi w Algierze, udzielił mi żądane pozwolenie, zaniosłem je Alemu. Jussuf, mój renegat zaprowadził mię do jego domu. Ali mieszkał niedaleko odemnie; dom jego chociaż pobielony zewnątrz, dosyć biednie wyglądał, jak wszystkie w Algierze. Zapukaliśmy do drzwi, czarny niewolnik otworzył nam i czém prędzej zamknął. Byłem w sieni bardzo ciemnej. Murzyn wyszedł innemi drzwiami, a Jussuf został na ulicy. Zaczekałem przez kilka minut i słysząc śmiechy w pobliskiej izbie, zacząłem się niecierpliwie, gdy w tém otworzyły się drzwi; murzyn rzekł po arabsku jakieś wyrazy, które zapewne znaczyły abym wszedł dalej, a wstąpiwszy na kilka schodów, ujrzałem się na podwórzu otoczonym galeryą. Niewolnik zaprowadził mię do sali dolnej i tam zastałem Alego. Siedział na kobiercu, bawiąc się z kilkorgiem dzieci pięknych, czerstwych i mocnych: były one prawie nagie, miały na sobie koszulę muslinową przewiazaną wężnianym pasem i czapeczkę z czarnego sukna wyszywaną cekinami, podług zwyczaju bogatych rodzin mauryańskich. Najstarsze dziecię miało około dwunastu lat, najmłodsze cztery.

Pomyślałem najprzód o sprzeczności jaka zachodzi między rzemiosłem tego Algierczyka a domowemi jego zwyczajami. Ten dzięki korsarz, postrach brzegów Walencji i Grenady, który nie raz aż pod armatami Palmy lub Iwiki porывał młode dziewczęta, który bez litości mordował tych co mu opór stawiać chcieli, który tylokrotnie zapełnił targ w Algierze niewolnikami swemi, bawił się teraz z dziećmi, jakby jaki spokojny mieszkaniec Francyi.

Powitał mię i przedstawił mi swoje dzieci, zaczynając od najstarszego, każde wy-

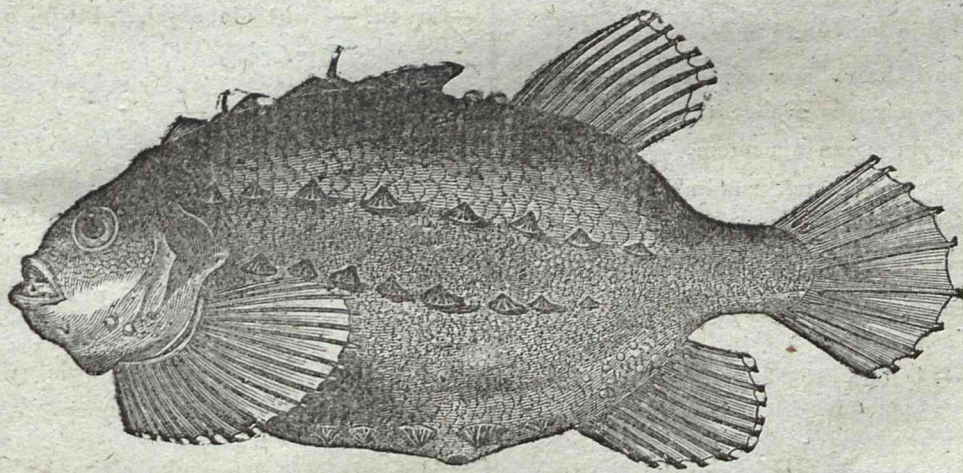
mienił po imieniu i oświadczył iż najstarszy syn jego mający lat 25. jest cyrulikiem przy ulicy Babazun, córka jedna jest za mężem a pięć jeszcze w domu.

Ubranie algierskiego salonu jest bardzo proste, składa się z sofy stojącej w alko- wie; na tej sofie gospodarz sadza gości których zaprasza.

Reszta sprzętów składa się z kobierców, mniej lub więcej bogatych i z kilku ram, w których oprawione są zdania z alkoranu, wyszyte na materji, złotemi albo czerwone- mi literami. Drzwi wewnątrz zamykane są ramami z wełny lub jedwabiu, wyszy- wanemi w rysunki w murytańskim gu- ście. Mury, ozdobione są na sześć stóp wy- sokości, mozaiką, składającą się ze sztuk kwadratowych fajansu, malowanych rozma- cie, a przyjemną dla oka. Węższa część ściany jest po prostu pobielona wapnem, posowa składa się z belek wyrzynanych i malowanych czerwono i zielono.

Tylko comusiadł na sofie obok Alego, najstarszy z chłopców przyniósł mi fajkę. Potem dano kawę, a następnie pilaw ulu- bioną potrawę ludów wschodnich. Nare- ście częstowano mię konfiturami i galare- tami.

Młoda murzynka postawiła przed nami fajerkę z żarzącemi się węglami i rzuciła na nie garść benzoesu. Izba natychmiast na- pełniła się dymem, przyjemną woń wyda- jącym, w milczeniu paliliśmy fajki, a tym czasem dwie niewolnice murzynki uraczy- ły nas muzyką, grając na instrumencie i bijąc w bęben. Młody murzyn i młoda murzynka, tańcowali taniec z brzegów Se- negalu, przy odgłosie tej muzyki. Głos muezzima wzywający na modlitwę wie- czorną, przerwał tę zabawę i zakończył moje odwiedziny.



TASZA (*Cyclopterus*)

Tasza należy do rodzaju ryb morskich, zowią ją także zajacem morskim, albo puklerzem; przebywa zazwyczaj w głębi mo- rza, ukryta pod skałami, albo przyczepio- na do nich swoją pletwą, mającą kształt puklerza i z nie małym trudem można ją oderwać. Żywi się morskimi robakami i rybkami. Ponieważ jest ciężką i nie wie- le posiada sposobów obrony, staje się łat- wą zdobyczą ludojadów i innych ryb dra- pieżnych. Jej mięso nie jest smaczne; je- dnakże jedzą je w niektórych krajach nad brzegami morza północnego, gdzie zwykle przebywa; lecz w ogólności służy tylko do robienia wędry na inne ryby. Przez dłu- gi czas mniemano, że ma doskonalsze or- gana słuchu i wzroku, niżeli inne ryby i że posiada instynkt towarzyskości, które- go inne ryby są zupełnie pozbawione; lecz

później przekonano się, że to mniemanie, jest bezzasadnym. Powstało ono z tąd, że nie raz uważano parę taszów leżących je- dna koło drugiej i przez długi czas niepo- ruszonych na piasku. Tę bliskość mylnie poczytano za skutek wzajemnego przywią- zania,

OGIEN Z NIEBA.

Wiersz Wiktora Hugo
przekładania Br: Hr: Kicińskiego.

I.

Czy widzisz jak przeciąga chmura zaczerniona,
To blada, to jaskrawa, to świetna jak łona,
To martwa jak lato skwarne?

Błyszczą z niej na tle nocy jakieś ognie krwawe,
Kotłują się po brzegach, dymu kłęby czarne,
Słychać jak pożarów wrzawę.

Skądże ta chmura? z nieba, z morza, czy z Wul-
kanu?

Tenże to wóz oguisty, którym grzeszne Panu
Po gwiazdach wożą się duchy?

Jój łono tajemniczym będące zamętem,
Skądże to szarpia błysków szalone wybuchy,
Jak długiego węża skrętem?

II.

Morze i wszędzie morze, fale, jeszcze fale;

Ptaka który się nad niemi zapędził zuchwale
Próżno chce przebyć to morze,

Gdyż bałwan coraz nowym bałwanem ze-
pchnięty,

Po nad natłoczonymi toczy się odmęty,
J głębie bezdenne orze.

Niekiedy, wielka ryba z nozdrzy wodę tryska,
J pod wodę płynąca srebrem skrzela połyska
Modrym ogona ogromem.

Morze kołysze falą, jak runami trzody,
A pas miedziany, błękit nieba w błękit wody,
Wciąga, krążąc nad poziomem.

»Czy osuszyć to morze? rzekł obłok z płomie-
nia.

—»Nie! — Odlata słuchając | wszechmocnego
tchnienia.

III.

W zielonych | wzgórkach, nadbrzeże
Patrzy w wód zwierciadło świeże.

Wznoszą pieśń pełną ochoty
Bawołów, zbrojni pasterze!

Łowców rybaków ród śmiały, |

Koczują tu, a ich strzały

Z błyskawicą by | igrały.

Jch te łłoby, te namioty.

Codzień indziej te rodziny,

Zdrowem powietrzem się nęcą.

Jch dzieci, ich dziarskie syny

J hoże skaczą dziewczyny.

Nad brzegiem koło ogniska,

Które wiatr wzdymałub ścisła,

Jch tańca nie widząc z bliska,

Rzekłbyś, że duchy się kręcą.

Tak piękne, jak noc w pogodę,
Z twarzą jak heban, dziewice,
W lśniącej miedzi swą urodę,
Przeglądają żywe, młode.

Inne pod namiot się chronią,
J tam z pełnych wymion ronią,

Białe mleko, czarną dłońią

Ciągnąc wielbłądów samice.

W słonej kąpią się otchłani,

Płci zmieszane w jednym tłumie.

Skądże ludzie ci nieznani?

Nikt powiedzieć nam nie umie.

Brzmia chrapliwie ich cymbały,

Na ten odgłos konie rżały,

Brzęk i rżenie się mieszały,

W oceanu hucznym szumie.

Chmura chwilę w powietrzu zatrzymać się chce.
—Czy tu? — Nikt nie objawił, kto jej odrzekł;
Nie.

IV.

Egipt! ubrany w kłosa złociste i kwiaty,

Wskazał pole upstrzone jak dywan bogaty.

Za płaszczyznami płaszczyzny,

Wrzący piasek z południa, przestrzeń wód
z północy,

Chcą sobie wydrzeć Egipt; on świetny i zyzny
Z tych mórż urąga się mocy.

Trzy góry, twór człowieka, sięgały obłoku

Marmurowym trójwęgłem i tały oku

Stopy popiołem zasute.

Aż do złocistych piasków, od ostrego szczytu

Szły szerzące się, stopnie potworne, z granitu

Na krok dwu sążniowy kute.

Sfinx różowy, z marmurów zielonych Bogini.

Strzegły ich, i tym powiek niemogły płomienne

Przymrużyć wichry z pustyni.

Nawy szeroką piersią do portu wpływały,

Siedząc olbrzymie miasto nad morskimi wały,

Młyło w nich stopy kamienne.

Zdala zabójczem tchnieniem ryczał Semun
dziki.

Chrzęszczały łuski, tarte obiałe kamyki,

Pod krokodyłów brzuchami,

Wzniosły się jednym tryskiem siwe obeliski,
 Jak tygrysia skóra żółty, wpływał bliski
 Nil, nakrapiany wypami.

Król gwiazd szedł na spoczynek, a morze w po-
 godzie,

Ten krąg z żywego złota odbijało w wodzie,
 Tę świata naszego duszę.

Błysły wśród świetnej fali i na krwawym niebie,
 Dwa słońca, jak królowie idący do siebie
 Przyjazne zawrzeć sojusze.

«Gdzież się zatrzymać?» spytał głos idący z
 chmury,

«Szukaj... i aż Taboru zatrzęsły się góry.

V.

Piasek i piasek znowu,
 Straszne głucho pustynie
 Potworów tu obłowu
 Kto uszedł, w zaspach ginie.
 Tu nic nie stoi stale,
 Gdy ryknie wiatr zuchwale,
 Wnet gnany jakby fale,
 Grzbiet gór piaszczystych płynie.

W tém miejscu sępów żyru,
 Brzmi czasem głos nieznany;
 Od Membry i Ofiru

Przechodzą karawany;
 Wzrok ściga je ciekawie
 Gdy orszak ciągnie żwawie
 Po wrzących piasków lawie,
 Jakby wąż nakrapiany.

Bóg martwe te pustynie
 Pod władzę swą wziąć raczył,
 On środek téj dziedzinie,
 On krańce jój oznaczył.
 Mgłę zawsze widzieć mozem,
 Nad wrzącém jój przestworzem
 Lecz tylko nad tém morzem
 Z popiołów piana płynie.

Czyż tę pustynię w morze zmienić? Chmura
 bada,

«Dalej! tak jój głos drugi z nieba odpowiada.

VI.

Jak ogromna, wśród morza stercząca opoka
 Lub nawał wież, okropnym zwałonych wstrzą-
 śnieniem,

Tak Babel pusta, szeroka

Zadziwiający świadek nicości człowieka,
 Tłumiąc światło sięgająca, okrywa z daleka
 Cztery góry swoim cieniem.

Nurzał się gmach zwałony w głębokich prze-
 strzeniach,

A uragany w jego więzione sklepieniach
 Wydawały dziwne tony.

Niegdyś blisko ród ludzki gwarzył; mury
 swemi

Miała kiedyś roztoczyć Babel wkoło ziemi,
 Zakręć niczem niezmierny.

Jój schody miały dumnie wzbic się do Zenitu,
 A do nich wielkie góry, bokiem swym z gra-
 nitu

Stopień tylko dostarczały.

Na dawnych szczytach, szczyty natłaczane
 nowe,

Piramidalnej wieży przykrywając głowę,
 Nieustannie przybywały.

Mniejszych się wydając z dołu od jaszczurów,
 Boasy, krokodyle, widzialne z tych murów
 Śród brył olbrzymich zaległy.

W zbyt obszernym zakresie ginące zastępy
 Palm wyniosłych, co czoła owój wieży strzegły,
 Zdają się jakby zioł kępy.

Koło rozpadlin muru dziki zwierz się czaił,
 Śród słupów i pilastrów na placu obszernym,
 Gęsty las cieniem zagaił.

Rudych orłów i sępów roje, bez ustanku
 Noc i dzień przy otwartym krążyły krużganku,
 Jakby przed ulem niezmiernym.

—Czy to mam zniszczyć? chmura zadaje py-
 tanie.

Leć! — J dokądże jeszcze unosisz mnie Panie?

VII.

Widok dwóch obcych grodów przed oczy nam
 stawa.

Piętra kładąc na piętrach wzbity się w obłoki,
 Teraz widać je śpiące wśród nocnej pomroki,
 Usnął ich lud i Bogi i wozy i wrzawa.

Pokładły się jak bracia na jedno nadbrzeże.
 Xiężycem odkreślony cień, kąpie ich wieże.
 W różnych przedmiotów tłoku, może dostrzedz
 oko

Wodociąg, schody, słupy, z podstawą szeroką

Wydęte kapitele; tu w niekształtném gronie,
Wielką kopułę nosią granitowe słońce,
Tam kolosy patrzące w potwory złe sprzęgłe,
Pełzające i z związków ohydnych wylęgłe.
Tam w kwiatach sad na śmiałych wiszący ar-
kadach,

W nim xiężyc szarą srebrną rzuca po kaska-
dach.

W świątyni wykładanej drogiemi flizami,
Sto bałwanów z jaspisu grozi byków łbami.
Sufity z jednej tafli nakrywają sale,
A w nich, głów kolosalnych nie podnosząc wcale,
Czuwają, patrząc siebie i zasiadłszy w gronie,
Bożki z spiżu, wspierając o kolana dłonie.
Te stopnie, te pałace, te przechody tajne,
W których wszędzie postaci straszą nadzwyczajne

Ten most, wodociąg, łuki, te wieże okrągłe,
Męczą wzrok przez zakrętów przeglądanie
ciągłe.

Na niebie tak te gmachy posępne sterczały,
Jak w morzu sterczeć zwykły przylądki i skały.
Tłok przedmiotów okrytych ciemności ogromem
Jskrzyło się gwiazdami niebo nad poziomem,
I przez tysiączne przerwy stojącej osłonki,
Swieciło jak z pomiędzy tła czarnej koronki.

Grody piekielne, w żądzach niepowściągłe
plemię!

Tam z każdą chwilą nowa rokosz się uśmiechał
Tajemnicę nieczystą, kryje każda strzecha,
I jakby wrzód podwójny bezecniły ziemię.

Spało wszystko! Nad obu miast przestrze-
nia całą,

Tylko niekiedy blade światło się migało:
Lampy rozpuszty, w samém zatleniu tłumione,
Gasnące ognie biesiad, bez ładu rzucone.

Róg ulic cienie zmniejszał, bo go Xiężyc zbielił
I tak zbielony w wodzie strumienia odstrzelił.
Kto wie czyli wątpliwie nie był dosłyszany
Szmer złączonych uscisków i oddech zmieszany,
Kiedy dwa bratnie grody po dzienném znu-
żeniu,

Gwarzyły, spoczywając w lubém uściśnieniu,
A wiatr wzdychając w chłodzie świeżej Syko-
mory,

Tchnący wonią, z Sodomy śpieszył do Gomory.

Naówczas to przemijał obłok zaczerniony,
»Tu kres« ozwał się z nieba głos w niém utajony.

(Dokończenie w następującym zeszytcie)

GOETHE.

(Ciąg dalszy)

Gdy powrócił do ojczyzny, zastał zna-
cznie już posuniętą fermentacją umysłów.
Od rozpraw teoretycznych, przeszli do
usiłowań. Ktokolwiek miał zdolność do
pisania, znajdował zachętę u drugich.
Współbieganie, może nawet zbyteczne,
lecz przychylnie oryginalności talentu, ka-
żdemu nadawało pewną wagę. Cała mło-
dzież nie miała innego przewodnika, prócz
natchnień wrodzonego smaku i charakte-
ru. Tak to rozpoczęła się ta sławna
epoka literatury niemieckiej, okrzyczana
od jednych, wychwalana przez drugich
w której dobre użycie zdolności, musiało
przynieść najpiękniejsze owoce, złe zaś
użycie, musiało sprawić najgubniejsze
skutki. Korzystając z powszechnego po-
pędu, Klopstock, który przez swoje poe-
ma religijne i ody, potężnie się do niego
przyłożył, ogłosił prenumeratę na swoją
Rzeczpospolitą Nauk i zamierzył sobie
w tém dziele ustalić prawidła smaku i poe-
zyi. Praca jego mały skutek sprawiła,
z powodu ciemności stylu autora. Lessyng
ze swojej strony, usiłował utworzyć te-
atr narodowy, a chociaż sam nie zdziałał
rewolucyi dramatycznej, pożądaną uczynił.
Jego sztuki nadały niemieckiej scenie
nie jakikolwiek wyraz; zaczęto na nią
więcej uczęszczać. Lecz naówczas za-
trwożyli się poważni ludzie i powstał gwał-
townie przeciw teatralnej zabawie, jako
nagannej i niemoralnej. Dla rozproszenia
ich obawy, zaczęto pisać sztuki tak zwane
moralne. Inatychmiast, mimo użalania
się wielu osób, zagarnęli teatr wdzięczni
synowie, ojcowie rodzin, dobrzy pastoro-
wie: nauki w rozmowach, zdolne przy-
wiedź do upadku teatr i na śmierć widzów
znudzić.

Goethe wyżej się wzniosł; uwielbianie
Szekspira, rozszerzyło zakres jego wyo-
brażeń. Teatr wydawał mu się za nazbyt
ciasny, zwyczajny przeciąg wystawienia
za nazbyt krótki, żeby wystarczyć mógł
do rozwinięcia wielkiego dzieła, nad któ-
rém od tak dawna rozmyślał. Kreśląc
charakter prawego Goetza z Berlichingen,
chciał zachować całą ważność historyczną
jego życia. Wyobrażenia Goethego rozsze-
rzyła się wraz z przedmiotem i nareszcie
formy dramatyczne które przyjął, prze-

stąpiły zakres sceny i zbliżyły się do form powieści wystawionej w działaniu.

Pódoówczas, umysły młodzieży, zwróciły się do rozstrząsania praw politycznych. Poezja z zapalem wchodziła się do tych sporów. »Co do mnie, mówi Goethe, wrażenia, stosujące się do panującego ducha czasu, umieściłem wkrótce potem w mej sztuce. Wystawiłem obłąkanie prawego człowieka, który uwiedziony przesadami swego wieku, wynosi się nad prawa, nierostropnie wdaje się w walkę z władzą publiczną i nareszcie wpada w rozpacz, gdy najwyższy naczelnik państwa, jedyna władza którą zna i szanuje, postępuje z nim jak z buntownikiem.

Jak wspomnieliśmy wyżej, zajął się tym dziełem powróciwszy do ojczyzniego miasta i sześć tygodni czasu wystarczyło mu do ukończenia sztuki.

Przejrząwszy ją z kilkoma przyjaciółmi, wydał ją widok publiczny. Wkrótce sprawiła pożądany skutek. Wziętość jej nawet tak była nagła i powszechna, że wkrótce wyprzedano pierwszą edycję. Zastanawiając się nad dziełem samém, chwaliła Goethego musiała być świetną, lecz zwracając uwagę na wiek autora, jakże musiała wzrosnąć w oczach jego współziomków! W rzeczy samej, że w tym wieku napisał Werthera, jest to bez wątpienia wyraźne znamie geniuszu: lecz raz je uznawszy, nie nie znajduje się w pomysłach takiego dzieła, w dwudziestym roku życia, coby obalało przyrodzony porządek rzeczy. Wszystko przeciwnie nosi w niem cechę młodości: gorący entuzjazm, zapalniejszy, przesada uczuć, są to wrodzone przymioty i wady pisarza, doświadczającego sił swoich; a jeżeli znajdujemy w Wertherze liczne i wydatne dowody głębokiej znajomości serca ludzkiego i to jeszcze nie powinno zadziwiać: człowiek wystawiony jest w nim, jako wychodzący dopiero z powicia dzieciństwa i stawiający pierwsze kroki w zawodzie życia. Lecz to powinno wzniecić zadziwienie do najwyższego stopnia, że Goethe wówczas mógł napisać taką dramę, jaką jest Goetz z Berlichingen, że utworzenie jej poprzedziło Werthera. Ścisłe biorąc rzeczy, można by jeszcze pojąć, że gruntowną odebrałszy edukacją i posiadającą takt historyczny, mógł Goethe wcześniej poznać historią średniego wieku i uczenie nad instytucjami swjej epoki rozprawiać. Nie raz się to zdarzało. Lecz, że obok tych wiadomości, posiadał wyobraźnię tak żywą i płodną, że z materyałów suchych, niekształtnych, różnorodnych, utworzył harmonijną i ożywioną całość; a jednakże tyle umiarkowaną, iż do ścisłej rzeczywi-

stości nie romansowego i fałszywego nie przymieszał; jest to zaiste bezprzykładną i niesłychaną rzeczą, pewnym rodzajem cudu, w której tylko wolno jest wierzyć, bez odgadywania jego powodów.

Teraz odmawiają Goetzowi nazwiska sztuki teatralnej, nie tak dla zgwalcenia prawideł jedności miejsca i czasu, które już się przykrzyć zaczynają, a których autorowie łatwoby się pozbyć mogli, gdyby po większej części, sami się ich dobrowolnie nie trzymali, dla tego że są dogodne, jak raczej dla długości całego dzieła, co przy małym rozwinięciu każdej sceny, wystawienie tej sztuki dwakroć trudzącemby uczyniło. Sam Goethe był tego zdania; jakoż nie pozwolił wystawić jej aż dopiero wtenczas gdy ją zastosował do sceny. Co nastąpiło w 1804. Lecz odtąd Niemcy widzą ją z upodobaniem.

Z tym wszyskiem, mówiąc o samém czytaniu, gdyż pod tę tylko próbę możemy poddać dzieło Goethego; musimy się żalić na zupełny brak rozwinięcia w szczegółach. Bez wątpienia, każdy z głównych zarysów jawnie jest oznaczony, lecz przedział między liniami często jest próżny i zamiast obrazu mamy tylko lekkie szkice przed oczyma: nie zapewne nie ma tam zbytecznego, lecz częstokroć żałujemy, że nie ma więcej: nigdy kolory nie są fałszywe, lecz się wydają nieco blade. Za ledwie od tego zarzutu można by wyłączyć akt piąty najlepiej wykonany.

Pomimo tych wszystkich zarzutów, jakkolwiek nazwisko nadamy Goetzowi, umieszcza on jednakże Goethego na najwyższym stopniu; wszystko zadziwia w tej sztuce, nawet same błędy, gdy pomyślimy sobie, że to jest praca młodzińca.

Okazanie się Goetza było hasłem obudzenia się sztuki dramatycznej w Niemczech. Ustaliło to wyobrażenie sprawiedliwe, lecz jeszcze wątpliwe naówczas, że jeśli starożytni wystawiali starożytne wieki, my tegocześni powinniśmy za ich przykładem, (i jest to jedyny sposób naśladownictwa) wystawiać nowożytną Europę, tę cywilizację na tonie chrystyanizmu zrodzoną i rozwiniętą przeciągiem wieków średnich. W gruncie rzeczy, nowa poezja romantyczna nazwana, jest tylko wyrażeniem tej myśli, zarazem tak prostej i tak prawdziwej. Lecz to, co w poprzednich epokach i w innych krajach, w rękę Petrarka, Danta, Szekspira i Miliona zrobiło się dobrowolnie, za natchnieniem natury i rzeczywistości, systematycznie odwołaniem zostało w Niemczech, za pomocą zdrowszej krytyki, lecz także z nieskóńczenie mniejszą prawdą i dzielnością. Wten-

czas okazały się prawidła nowój poetyki wynikającej z poezji wieków średnich i w pewnym względzie na jej kształtach utworzone. A jeżeli jest sztuka, w której trzymano się prawideł tej poetyki albo raczej wzniesiono ją do wysokiego stopnia ścisłości, to zapewne Goetz z Berlichingen. Wieki średnie tak są jawnie i głęboko w tém dziele wystawione, że odtąd, systemat klasyczny, naśladownictwa i pożyczania, ustąpić musiał ze sceny niemieckiej. Przykład Goethego, zniewolił wszystkich poetów do czerpania ze źródeł średnich wieków, przedmiotów zastosowanych do naszych obyczajów. Goetz z Berlichingen taki wpływ w Niemczech wywierał; a wpływ ten jakkolwiek zbyt czynnym być się wydaje, nie ograniczył się na samych Niemcach i w zakresie teatralnym. Zdaje się, że Walter Skott, stając na granicach tego rodzaju i innego obszerniejszego jeszcze, winien jest Goethemu pomysł swoich historycznych obrazów. Przynajmniej przełożył go w młodości i znajdujemy w Jwanhoe scenę wiernie naśladowaną z Goethego, najpiękniejszą ze wszystkich jego utworów: Selbitz raniony, rozkazujący żołnierzowi aby mu walkę opisał, nazbyt jest podobny do rycerza Jwanhoe słuchającego Rebeki, aby to przypuszczenie nie zamieniło się w pewność. Oprócz tego, nie jest to jedyny hołd który poeta szkocki oddał Goethemu; wspomnę później o innych jeszcze więcej uderzających. Naśladowania te, nie są kradzieżą: dobra wspólne są między ludźmi z geniuszem. Jedynym prawidłem jest, umieć z nich przyzwycię korzystać, a Walter Skott bardzo dobrze tę sztukę posiadał.

Pośród tak nadzwyczajnego położenia, uczuł w duszy swojej młody Goethe, podwójną skłonność do naturalnej mu smętności, może z powodu wspomnień ostatniej miłości tak nieszczęśliwie rozwiązanej, może przez czytanie posępnych poezji angielskich w modzie naówczas będących, może, jak zwykle w jego wieku, przesycony życiem, którego zewnątrz rozwijać nie mógł, doznawał ciągłego niesmaku we wszystkiém, i stroniąc od społeczności, zawierał się z przykrością w sobie samym. Taki stan, tém przykrzejszy, iż przyczyny jego dociec nie mógł, trwał przez czas niejaki; aby wyjść z niego, chciał sobie życie odebrać. Uleczył go widok narzędzia zabójczego, a wkrótce odzyskał nad swoją wyobraźnią tyle mocy, iż zapragnął odmalować nudy, które go dręczyły. Nieprzewidziane zdarzenie podało mu środek do pożądanego przedsięwzięcia. Mówię tu

o dobrowolnej śmierci młodego Jeruzalema, syna poety tegoż nazwiska. Śmierć jego zrzadzona przez miłość ku żonie jednego z przyjaciół, zrobiła na Goethem wielkie wrażenie. Materiały przez niego przygotowane, jakby same przez się złączyły się w całość. Co się tyczy sposobu, jakimś się wziął do wykonania, tak o nim mówi: »Dzieło którym się zająć miałem, natchnione tragicznym zgonem znajomego młodzieńca, i przez podobieństwo z moim położeniem, musiało mieć ten zapach prawdziwy, który w płód poetyczny całe życie rzeczywistości przelewa. Zamknąłem się i nie przyjmowałem nawet przyjaciół. Odłożywszy na bok, wszystko, co się nie łączyło bezpośrednio z moim przedmiotem, usiłowałem przeciwnie gromadzić wszystko, co z nim najniżej miało stosunek. Wystawiłem sobie żywo przeszłe wypadki i wszystko czegom był jeszcze wyobraźnią moją nie objął. Pod wpływem tytuł okoliczności i po przygotowaniach zwolna i potajemnie uczynionych, napisałem Werthera w czterech tygodniach, nie robiwszy wprzód żadnego planu, żadnego zarysu dzieła. Zaledwie go na czysto przepisano, posłano go księgarzowi, wydrukowano i ogłoszono. »Ta książeczka, mówi sam Goethe, sprawiła nadzwyczajne wrażenie; przyczyna tego jest bardzo prosta: wyszła w swoim czasie. Minę mocno narbiła, zapala najmniejsza iskierka. Werther był tą iskierką. Przesadzone żądania, niespokojne namiętności, cierpienia urojone, dręczyły umysły wszystkich. Werther był wiernym obrazem powszechnej choroby: wybuch był zatem nagły i okropny. Uwodzono się nim nawet, a skutki jego podwajał niedorzeczny przesąd, podług którego nauczanie jest rzeczą zgodną z powołaniem autora. Zapomniano, że ten który opowiada, nie pochwała ani gani, lecz usiłuje rozwinąć po prostu bieg uczuć i czynów. Tym to sposobem oświeca, a do czytelnika należy zastanawiać się i sądzić. Romans ten znajomy jest wszystkim; wielu odczytywało go po sto razy. Ale jak się często zdarza i jak Goethe sam nad tem ubolewa, ludzie zamieniają natychmiast dzieło sztuki w katechizm filozoficzny. Liczni zapaleńcy wzięli Werthera za wizerunek ludzkości, narzekania jakie na nim namiętność wymusza, przeistoczyli w swoich umysłach w normę postępowania, którą głośno wyznawali i którą niektórzy z nich wykonywać zaczęli, odbierając sobie życie nie wiedząc dla czego.

(Dalszy ciąg nastąpi)